# ŁUK

**MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE**

ROK I WIELKOPOLSKA LISTOPAD 1931 NR. 2

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

# WSPOMNIENIE „BUNTU"

— — Poczekalnia lekarza. Siedzę wśród pacjentów i oczekuję na swą kolej. Przybyłem ostatni, więc czekać muszę całą chwilę. Nareszcie! Przedostatni pacjent opuszcza gabinet. — „Proszę!" — przyzywa mnie głos z głębi gabinetu.

Wchodzę. Wnętrze tchnie poważną, chłodną atmosferą pracowni lekarskiej. Za szklanemi ściankami szafek połyskują groźnie narzędzia pracy. One, a zwłaszcza charakterystyczne zawieszki na ścianach zdradzają specjalność lekarza: — okulistykę. — Ale, — o jeszcze jednej specjalności właściciela tego gabinetu dowiadujemy się, przebiegając wzrokiem ściany. Spojrzenia nasze, biegnąc, zatrzymują się co chwila na rozwieszonych gęsto planszach. Możemy im się przyjrzeć dokładniej, bo dr. Stefan Szmaj, autor tych plansz, pochylony nad biurkiem, wciąż jeszcze notuje coś pilnie w swoim journalu. Zresztą, znamy dobrze te ciekawe, niesamowite drzeworyty, linoleodruki i litografje. Skąd? — — Już na pomoc pamięci spieszy usłużna asocjacja. Z oglądaną grafiką Szmaja kojarzą się nieomal wszystkie zeszyty — — „Zdroju".

Dalsze obserwacje przerywa mi lekarz. Odwraca ku mnie głowę. Poznaję ostro zarysowaną sylwetę czaszki. Głęboko, między wybudowanem szeroko sklepieniem skroni a mocno zaakcentowaną kością policzkową, czernią się pytająco wyraziste plamki źrenic. Zanim poruszą się dosadnio modelowane łuki rzuchw, a wąsko, w pogardliwą linję przycięte wargi rozewrą by rzucić pytanie, — spieszę zapobiegliwie z tłumaczeniem:

— — Nie jestem pacjentem! Nie przyszedłem wcale po poradę do lekarza! Przyszedłem do artysty, a przywiodła mnie chęć poznania jednego z najzawziętszych „buntowników", chęć mówienia o sprawach „Buntu". —

Lekarz zdumiewa się, a potem uśmiecha tak samo, jak na swoim autoportrecie zawieszonym opodal.

— „Bunt!" — „Zdrój" — — panie! Któż dziś o tem mówi, kogo to teraz obchodzi?!

Zapewniam go, że sprawy „Zdroju i Buntu" będą aktualne zawsze, ilekroć mowa będzie o wielkopolskim ruchu artystycznym. Ruch ten był jak dotąd naogół słaby. Tembardziej więc, na jego bezbarwnem tle, rysuje się jaskrawie gwałtowna linja wystąpień Hulewicza. Od pierwszego zaraz zeszytu wywołał „Zdrój" skandale, zdumienie i awantury. Wrzask niezrozumienia, drwin i oburzenia towarzyszył odtąd „Zdrojowi", aż do jego



Stefan Szmaj: Stanisław Przybyszewski. Linoleoryt org.

ostatniego numeru. A liczba tych numerów szła jednak w dziesiątki. Zjawisko to niezbyt częste, jeśli idzie o czas trwania wydawnictwa artystycznego. „Zdrój" upadł. Złożyły się na ten upadek i wyczerpanie się środków materjalnych wydawcy i słaby rezonans społeczeństwa na hasła polskich ekspresjonistów. A poza wszystkiem innem także i fakt gwałtownej po wojnie zmiany w sposobie formułowania konwencjonału piękna. Epoka „nowej—rzeczowości" przywaliła swoim ciężarem romantyzm ekspresjonizmu.

Upadek „Zdroju", był jednocześnie wyrokiem śmierci, dla związanego z nim organicznie zrzeszenia art.-plastyków „Bunt". Cóż się stało z „buntownikami"?

— — Rozpierzchli się. Niektórzy z nich przestali zupełnie pracować artystycznie. Niewiadomo nam nic o dalszej twórczości Kubickiego, Kubickiej, Skotarka; a zapowiadali się przecież bardzo ciekawie. Jerzy Hulewicz, zmuszony był sprzedać swój majątek Kościanki[1]), główną kwaterę Zdroju i opuścił Poznańskie. Wroniecki został w Wielkopolsce i jak wiadomo, wychowuje młode pokolenie jej grafików. Malarz Swinarski, pracuje zdaje mi się obecnie tylko literacko. Zamoyski, świetny rzeźbiarz, osiadł na stałe w Paryżu aby tam dobijać się do coraz wartościowszych rezultatów...

No, a pan?

Uśmiech mego rozmówcy staje się gorzki a wymowny ruch ręki uprzedza treść odpowiedzi. — — Pracuję dorywczo; tyle tylko ile mi na to pozwala moja praktyka lekarska. —

Jakiemiż to drogami pan, dr. med., wyspecjalizowany w okulistyce, a więc pracujący na terenach tak odległych od dziedzin sztuki, doszedł do „zbuntowanej" gromadki?

Przeżycia młodzieńczych lat, skondensowane w kilku zdaniach są odpowiedzią na postawione pytanie:

...„Buntownikiem" byłem zawsze. Z szóstej gimnazjalnej, z Ostrowa, uciekłem do Monachjum. Pracowałem tam w szkole malarskiej prof. Groebera. Trzy miesiące. Te trzy miesiące to już całe moje wykształcenie malarskie.

— Jak to?

— Wróciłem do domu na święta Bożego Narodzenia. Przywiozłem z sobą rysowane studja aktów, za które chwalił mnie Groeber i z których byłem ogromnie dumny. Oto one:

Z pod otomany, mój interlokutor, wydobywa na światło dzienne poważnych rozmiarów tekę. Z pośród mnóstwa szkiców eliminuje dr. Szmaj szereg rysunków węglem i sangwiną. Myślę sobie o nich: mocne, z talentem rysowane studja.

— Widzi pan. Otóż nieszczęście chciało, że przedmiot mej dumy zobaczył, przebywający nieraz u nas w domu ks. proboszcz. Okropnie się zacny staruszek zgorszył. Rodzice moi już nieomal pogodzeni z mojemi planami artystycznemi, za jego usilnemi namowami zmienili pierwotny zamiar i gwałtem osadzili mnie napowrót w gimnazjum.

— Nie tkwiłem w niem zresztą długo...

— Znowu eskapada artystyczna?

— Tym razem — — nie, raczej polityczna. Zbuntowałem kolegów przeciwko belfrom-hakatystom. No i musiałem się wynosić. Zatrzymałem się aż nad Renem, w Montabaur. Tam zdobyłem maturę. Był to 14 rok. Wojna. Z gimnazjum poszedłem do koszar. Znakomicie „zrobioną" gruźlicą wykpiłem się z armji pruskiej. Pojechałem na studja medyczne do Monachjum.

A studja artystyczne?

Mało było na nie czasu. A przecież rysowałem ciągle. Gdzie się tylko dało. Akt studjowałem w prosektorjum. Rysunki te, znacznie później przeniosłem na litograf. Dwanaście takich litografij ująłem w tekę i wydałem ją w stu egzemplarzach w zakładach graficznych Ziółkowskiego w Poznaniu.

„Morgue", tak brzmi lakoniczny napis na teczce.

A zawartość jej...

— — Zdarzają się wśród młodych medyków tacy, dla których moment zetknięcia się z salą przeznaczoną do wykonywania sekcyj na trupach, jest jednocześnie momentem głębokiego moralnego wstrząsu. Do nich należał Szmaj, a jego przeczulona organizacja psychiczna artysty, ze zdwojoną siłą zareagowała na okropność i brutalność przeżycia. Jego rysunki z „morgi" są plastycznym dokumentem gwałtownego moralnego wstrząsu. Są ponadto buntem ducha ludzkiego przeciwko nędzy cielesnego istnienia. Z taką samą niepohamowaną pasją protestował Goya przeciwko brzydocie i degeneracji typu ludzkiego. Porozbijane, rozrzezane trupy z „morgi" Szmaja przerażają takim samym makabryzmem nastroju, jak wizjonerstwo Goyi, jak jego piekielne maskarady widm. A obok Goyi, Rops i jego „Diaboliques" i „Sataniques", narzucają się niemniej silnie podczas oglądania plansz „morgi". Nie iżby twórczość Szmaja uzależnioną była od sztuki obydwu wymienionych, tylko przez wspólny ton okropnego nastroju. Mówię o tem Szmajowi, a on zamiast odpowiedzi, wyszukuje i pokazuje mi list Gottfrieda Benna[2]). Prawda! przecież w zbiorze liryk tego głębokiego poety-lekarza jest cykl wierszy, zatytułowany tak samo, jak teka Szmaja. Ta sama siła przeżyć, ten sam moralny wstrząs zmusiły obydwu lekarzy do wypowiedzenia się artystycznego. Uczynili to, jeden za pośrednictwem słowa a drugi linji, osięgając identyczną nieomal potęgę wyrazu. Oto — jak lekarz-poeta pisze do lekarza-plastyka:

...Tysiąckrotnie dziękuję P. Koledze za przesłanie mi Jego teki i Jego listu. Rysunki Jego są wręcz niezwykłe. Niektóre plansze wykonane są z siłą, która mnie głęboko wzruszyła. Wrażenie obrzydliwości cielesnego istnienia jest wstrząsające i niezapomniane. Istotnie, jesteśmy wszyscy jakgdyby wydani na rzeź i oczekujemy, aż jakiś tajemniczy rzeźnik porozbija nam nasze kości...

...Rad jestem bardzo, że danem mi jest do obcego mi kraju przesłać moje słowa, a zwłaszcza do Polski, której żywotności kulturalnej towarzyszy stale mój najwyższy podziw...

Z prawdziwem podziękowaniem, za głębokie wzruszenie estestyczne, spowodowane Pańskiemi litografjami, i za przypomnienie tak żywe, najsilniejszych przeżyć z okresu naszych studjów — zostaję

Gottfried Benn.
Berlin 6. 12. 28.

A oto opinja innego lekarza-artysty:

...Bardzo serdecznie dziękuję P. Koledze za jego tekę... Co do rysynków nie dziwię się, że mogły niejednego przerazić — przejmujące są... Jeszcze raz dziękuję...

Boy.
18. IV. 1930.

Naprawdę niezwykły był ten pański pierwszy, dojrzały, artystyczny bunt, a dalsze... Kiedy znalazł się pan wśród „Buntowników" poznańskich?

— Pchnął mnie do nich Przybyszewski. Mieszkał wówczas także w Monachjum. Urządzał u siebie dla Polaków skromne, alenie zapomniane przyjęcia. Bywali tam malarze Pełczyński, Korzeniowski, wogóle Polacy artyści przebywający w Monachjum. Rzecz prosta, że pragnąłem się w tem środowisku znaleźć. Zdarzyła się okazja no i stałem się częstym gościem w domu pp. Przybyszewskich. Kiedyś, przypadkowo Przybyszewski zobaczył któryś mój drzeworyt. Podobał mu się bardzo i począł mnie usilnie namawiać, abym, bawiąc w Wielkopolsce koniecznie zwrócił się do Hulewicza. —

Nie bez wzruszenia czytamy rozlewne, dziwaczne a tak bogate listy Przybyszewskiego. Przybyszewski uparcie namawia Szmaja do podjęcia

[1]) W powiecie wrzesińskim. (Red.)

[2]) Gottfried Benn: „Fleisch". Verlag der Wochenschrift „Die Aktion". Berlin 1917. (Red.)

intensywnej pracy artystycznej. W pewnej chwili przerywamy czytanie i uśmiechamy się do siebie porozumiewawczo a serdecznie, natrafiwszy na takiustęp listu: ...niech się pan nie zniechęca, a zwłaszcza niech pan pracuje, aby jak najprędzej zabezpieczyć sobie byt, by móc potem spokojnie oddać się twórczości artystycznej...

Przybyszewski — i takie rady! Przybyszewski, który biedował całe życie, a nawet przy jego końcu nie zdołał jeszcze poradzić sobie z zabezpieczeniem swego bytu.

Za orędownictwem Przybyszewskiego wszedłem do „Zdroju" i współpracowałem w nim stale, wykonując mnóstwo lineorytów, drzeworytów i rysunków. Gdy w r. 1918 redakcja „Zdroju" zorganizowała pierwszą wystawę „Buntu", wziąłem w niej udział. Pierwotnie, ekspozycja miała mieć miejsce w salonach Tow. Przyj. Sztuk Pięknych. Lokal ten, podano już nawet na ogłoszeniach. Cóż, kiedy niespodziewanie powstał między ówczesnym zarządem Tow. P. S. P. a „Buntem" zatarg. Poszło mianowicie o rzeźbę Zamoyskiego i o mój drzeworyt „Pocałunek". Zawiadomiono nas, że wymienione eksponaty są zbyt „drastyczne", aby je można wystawić w salonie i postawiono nam kategorycznie do wyboru: albo wyeliminowanie „zakazanych" prac, albo zupełne usunięcie się „Buntu". Zaprotestowaliśmy publicznie przeciwko tego rodzaju zakusom na swobodę twórczą artysty, i — — wynajęliśmy lokal wystawowy przy ul. Gwarnej. Wespół z Wronieckim znieśliśmy tam nasze prace. Panie! Cóś to był wtedy w nas za cudowny entuzjazm, ile najlepszej wiary... Po otwarciu wystawy P. T. publiczność używała sobie na nas ile wlazło. Drwinom, kpinom i szyderstwu nie było końca. Odpowiedzieliśmy na to zorganizowaniem wieczorów dyskusyjnych w lokalu wystawy. Przemawiali: Adam Bederski, Jerzy Hulewicz, Kubicka, Skotarek — — ale „nec Hercules contra plures!" Jednak nie poddaliśmy się łatwo. Wystawialiśmy jeszcze wspólnie w Berlinie, w Düsseldorfie... „Die Aktion", poświęciła nam cały numer. Później w r. 1920 jeszcze raz w Poznaniu a potem w Krakowie, w obydwu wypadkach razem z grupą Formistów.

A potem?

„Zdrój" upadł i „Bunt" stracił swe oparcie, a zresztą nadeszły lata, które inaczej poczęły formułować konwencjonał piękna.

Tak! „Sztuka jest namiętnością" i tęsknotą za raz takimi to znów innymi kształtami. Jednak w tej zmianie ideału jest pewien sens, jakaś tajemnicza logika nieustannych nawrotów czy powtarzań.

To znaczy?

...że, na dzisiejszy ideał formy, w istocie rzeczy nieomal klasycznie pojętej, reakcją będzie znowu „bunt", znowu walka o prawa wyrazu, o nową treść, o nieśmiertelne ideały romantyzmu. — — —

— — — Ogarnia nas głębokie milczenie. To samo, które pochłania człowieka zawsze, ilekroć nazbyt daleko zapatrzy się za siebie, czy przed siebie. — — —

Bydgoszcz. *Marjan Turwid.*

---

STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

# POWITANIE KATEDRY | KOŚCIÓŁ św. JERZEGO

(Z cyklu: „Gniezno i Ziemia Gnieźnieńska")

## POWITANIE KATEDRY

Nad Wisłę, Wartę, Narew
i nad każdy strumień
pobożny szedłem pielgrzym,
aby uczcić mury
katedr, drabiny widzieć niebios z złota,
z których
aniołowie zstępują na głębinę sumień —

W oczach mam zachwyconych jeszcze
ścian ich przepych,
połysk marmurów, wieże,
wciąż gardzące ziemią
ponad dachami domów,
co im u stóp drzemią,
zwid krasy i potęgi w krwi
źrenicach ciepłych.

A przecie ciebie taka mi otacza glorja
kościołów polskich matko,
także twoje mury,
wspaniałość, świętość, że ta w sercu
mojem radość,

co w duszy Kazimierza króla, gdy Bogorja
fundator, czyniąc zbożnej woli
jego zadość,
ukazywał mu ciebie po raz pierwszy
z góry.

## KOŚCIÓŁ św. JERZEGO

Tu most milvijski Polan, Tolbiacum
bez krwi,
wzgórze, na którem los się rozgrał
tysiącleci:
dotąd nad miejscem onem aureola świeci,
słów wiekopomnych echa
wtórzy chór niebieski.

Tu Jordan Polski, w który weszło
z księciem plemię,
plemienia tego wszystkie
po wiek pokolenia —
Litwa schroniła się do drzew tych
świętych cienia,
stąd blask Golgoty padł
na Wisłę i jej ziemie.

W kieracie lat miljona, w stu łańcuchu
przemian,
wielu roztopił się tu trwóg i klątw
lodowiec,
na jaskiniowców trupie, na tysiącu mogił,

stu pokoleń nareszcie pojął pogrobowiec,
że z miłością nań patrzą
z sfer szczęśliwych bogi
że on jeden z ziem stworzeń braci
ma śród niebian.




JULJAN STASIEWSKI:

# POWIAT WRZESIŃSKI
## POD WZGLĘDEM GEOGRAFICZNYM I PRZYRODNICZYM

(Ciąg dalszy z № 1)

Krzywegóry są jak żaden inny teren powiatu niezwykle bogate w skamieliny najrozmaitszego rodzaju. Z łatwością tam znaleźć można skamieniałe części zwierząt przedwiecznych t. z. przedpotopowych: korale, gąbki, małże i wiele innych. Dla swej obfitości w krzem stanowią Krzywegóry pierwszorzędny materjał do wyrobu szkła.

Inną ciekawą częścią krajobrazu naszego są Ciemnegóry, ciągnące się na zachód od Gorzyc w stronę Miłosławia. Jest to skupienie większej ilości wzgórz o szczytach ostrych, prawie że śpiciastych na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, bo tylko dwa i pół kilometra długiej i w najszerszem miejscu 1 km szerokiej. Wyglądem swym przypominają łudząco postacie znane z gór skalnych np. Tatr wysokich, gdyż strome ich stoki wznoszą się częstokroć w nachyleniu 45 stopni a nawet i więcej jeszcze. Wspinać się na nie niezbyt łatwo, zato stanąwszy u szczytu spostrzegamy krajobraz niezwykły, niespodziewany zgoła na naszej monotonnej, zdaje się, równinie wrzesińskiej. Nie wiele potrzeba wyobraźni, aby widzieć się przeniesionym nagle w dalekie górskie okolice, gdzie u podnóża każdej góry zieje przepaść głęboka. Ciemnegóry wznoszą się 25 m ponad poziom otoczenia, nie wiele niższe są zatem dzielące poszczególne wzniesienia doliny. Ciemnegóry są porośnięte borem sosnowym, wskutek czego nie można napawać óczu widokiem na dalszą okolicę. Pomimoto stanowią jedno z najwięcej uroczych miejsc powiatu.

Niektóre z pojedyńczych wzgórz, rozsiadłych na terenie powiatu, posiadało w minionej przeszłości, jak to świadczą zapiski w starodawnych dokumentach, swoje nazwiska i tak: Kocisad[4]), między Psarami Polskiemi a Słomowem (119 m nad poz. morza), Wilczyrynek[5]), między Biechowem

[4]) [5]) Stan. Kozierowski — Badania nazw topograficznych dzisiejszej archidjecezji Poznańskiej. Poznań.

a Chwalibogowem nad szosą do Miłosławia (108 m n. p. m.) Urjańska góra na północ od Kozubca (105 m n.p.m.), Lipnagóra[6]) pod Bieganowem (100 m n. p. m.) Zimnegóry pomiędzy Czeszewem a Mikuszewem, wspomniane wyżej Krzywegóry i Ciemnegóry, Uścieńska góra[7]) na granicy Młodziejewic i Unji, Łysagóra na wschód od Miłosławia, Kołodziejska góra[8]) pod Gozdowem od Kaczanowa, Koniowy Kopiec pod Mikuszewem[9]), Turza pod Gorazdowem[10]). Krzywegóry nazywały się jak dzisiaj już w roku 1360[11]).

Gdy zmalała obfitość wód z ustępującego pod wpływem ciepła lodowca, było jeszcze dość wody, aby mogła ku prarzece wyżłobić sobie bruzdy szerokie, któremi do dziś przepływa — skarłowaciałe potomstwo jako dopływy Warty. Bruzdy te to obecne doliny Meszny z Rudnikiem, Wrześnicy z Wrzesionką, Szyrwy z Listownicą, Bierzwiennej a dzisiaj Mikuszewskiej strugi, Łącznej, Bardzianki (Miruszy). Idą one wszystkie odpowiednio do stanu pochyłości w kierunku północ — południe odchyleniami na wschód i na zachód.

Mianowicie dolina Łącznej zasługuje na to, aby jej się bliżej przypatrzyć. Łączna płynie w kierunku z północnego wschodu na południowy zachód i wypływa z bagnistych łąk na południe od folwarku Bielawy. W odwrotnym kierunku ciągną się dalsze doliny ku północno-wschodowi, także wspólny pas dolin od Warty pod Szczodrzejewem do Wrześnicy pod Borkowem wynosi prawie 20 km. W północnej części tego pasa płyną trzy strumienie, które po złączeniu się powyżej Ciesiel Małych tworzą Strugę Pyzderską, dopływ Warty, a jeszcze dalej na północ Struga Gorazdowska, dopływ Wrześnicy pod Borkowem.

Równolegle do tego pasa dolin ciągnie się 7 km dalej na północnozachód drugi pas. Bierze on swój początek koło Grabowa królewskiego i ciągnie się przez Lipie i Miłosław daleko w powiat średzki. Przepływa go Szyrwa.

Oba te pasy dolin, położone pod kątem do doliny prarzeki, a nadto kładące się prawie wpoprzek do panującego na naszym terenie systemu nachylenia, każą się domyślać, że mamy tutaj do czynienia ze specjalnem zjawiskiem geologicznem. Tak jak bruzda prarzeki pochodzeniem swem sięga niewątpliwie w opokę przedlodowcową[12]), którą nauka nazywa epoką trzeciorzędną, tak samo i wymienione pasy dolin, przedewszystkiem dolina Łącznej, z tej samej pochodzi epoki. Nie w tej wprawdzie formie, w jakiej ją dzisiaj widzimy, gdyż kataklizmy epoki czwartorzędnej, do której należy okres lodowcowy, wycisnęły na niej jak na całym terenie swoje wyraźne i niezatarte piętno. Zdaje się nie ulegać jednakże wątpliwości, że dolina Łącznej znajduje się nad takiem miejscem, które już w epoce trzeciorzędnej wykazywało pewnego rodzaju kotliny lub wklęsłość terenu.

Warstwy epoki trzeciorzędnej tkwią do dziś głęboko ukryte w ziemi, przywalone nieprawdopodobnemi ilościami naniesionego przez lodowce materjału. W północnej części powiatu znajduje się pod obecną powierzchnią 60—70 m, w południowej zaś tylko 20—30[13]).

Panuje wśród uczonych pogląd, że od ostatniego okresu lodowcowego upłynęło 40000 lat. Tak dawną jest więc rzeźba powiatu, aczkolwiek nie jest wykluczonem, że w pewnych swych częściach, jakieśmy starali się wykazać, odzwierciedla konfigurację powierzchni podczas epoki trzeciorzędnej, występującej przed okresem lodowcowym.

I mimowoli, zastanawiając się nad tem, cośmy właśnie powiedzieli, gwałtem ciśnie się pytanie do głowy, czy ziemie powiatu naszego pozostaną w nieskończoność takiemi, jakiemi je dzisiaj ogląda oko nasze.

Otóż wszystko, co jest pod słońcem, oscyluje między dwoma biegunami: początkiem i końcem. Co się poczęło, to i skończyć się musi. Takie to już nieubłagane prawo kieruje wszystkiem, bo taki jest porządek świata. Od tej reguły żadnego niema wyjątku. Przyjdzie więc kres i na ziemie naszego powiatu. Co się z niemi stanie, nie wiemy. Może się tylko przeinaczą, przekształcą, pod wpływem impulsu z woli Bożej, by tworzyć z resztą nowy okres rozwoju na globie ziemskim. Ale właściwie przyszłość zakryta jest zupełnie przed oczami śmiertelnych. Jedno jest tylko nieodzownie pewne, a mianowicie to, że i ziemie naszego powiatu kiedyś istnieć przestaną.

[6]) [7]) [8]) [9]) [10]) [11]) Stan. Kozierowski — Badania nazw topograficznych dzisiejszej archidjecezji Poznańskiej. Poznań.

[12]) Fritz Langhagel — Die Höhenverhältnisse des Posener Landes. Deutsche Gesellschaft für Kunst und Wissenschaft. Poznań 1915. rocznik XXII. zesz. I. str. 24.

[13]) jak pod [12]).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

TEODOR TAŁUNA:

# O ZMIERZCHU

...Kiedy okna zmierzch ocieni
W mgły zmroczonych tchnień zieleni
Perlą się ros zwilżem szyby —
Iskier snop z komina tryśnie,
Leci w zmierzchu, potem zniknie
Gdzie pukają w okna wiśnie —

Kościół stary cisz zmierzchowa
W pyle gwiazd do snu kołysze.
Witraż — łyse czaszki mnisze
W mleczny tuman księżyc chowa. —

Skoczne dźwięki harmonijki
Gdzieś po rosie ku mnie lecą...
W karczmie buty i buciki —
Skry siarczyste w tanie niecą.

...Kiedy okna zmierzch ocieni
W mgły zmroczonych tchnień zieleni,
Perlą się ros zwilżem szyby.

---

BRONISŁAW SZCZEBRZYC:

# BOBRY w WIELKOPOLSCE

Należę niestety do grona tych urwipołciów, którzy z nastaniem okresu „Wielkich Włóczęg" nie mogą zagrzać miejsca w rodzinnych pieleszach, lecz z kijem w dłoni wyruszają w świat... szukać choćby przysłowiowego wiatru w polu. Lubią pozatem (i tu leży cały urok życia!) ścigać się z zającami po miedzach, bobrować i myszkować w zawody z lisami po haszczach i kniejach całej Wielkopolski, lub słuchać na rozkwieconych łąkach jak trawa rośnie lub dęby szumią.

To też skoro tylko słońce lipcowe zacznie farbować na kolor brunatnego atłasu różowe ciała plażujących się dzieci — ładuję plecak furażem i jazda! gnam przed siebie, dokąd mnie tylko nogi poniosą. Zawsze bowiem gdzieś dojść muszę! Gdzie? Nic mnie to nie obchodzi!

Tego roku poniosły mnie znowuż nożyska moje w „Krainę Cudnych Jezior" — w okolice Sierakowa i Międzychodu, gdzie lazurowe, głęboko czarne lub sine jak skrzydło mewy, tonie jeziornych wód, tworzą krasne „pawie oka" pośród burych borów i zielonych lasów. Poszedłem tego roku z wizytą do moich przyjaciół mieszkających w nadleśnictwie Bachurzewie, — w bobrowej osadzie. Poszedłem pierwszy, bo bestje honorne! — nie miały chęci zniżania się przed takim chudopachołkiem jak ja. Wiadoma to rzecz! Bobry to nie

byle kto! Sławna, stara to i szlachecka rodzina, wywodząca swój ród rzecznych i moczarowych władyków od niezwalczonego swego protoplasty i założyciela Gryzonia Ostrego, który się pieczętował herbem Sadłowatych i słynął na okolicę całą, jako mistrz nad mistrze w budowaniu rzecznych tam, stawideł, zamków bobrowych, lochów podziemnych i wielu innych równie pięknych rzeczy.

Moi leśni przyjaciele się bardzo ucieszyli z mego przybycia. Na me powitanie Arcybóbr, najstarszy po kądzieli potomek Wielkiego Gryzonia, trzepnął swym łopatkowatym ogonem o wodę z taką siłą, że łoskot donośny poszedł salwą łopocącą, echem na bory i lasy dalekie. — Na ten sygnał cała osada bobrów jak na komendę dała nura i znikła w głębiach architektonicznie pogłębionego przez siebie strumienia. Tylko bulgot podziemny wypychanej z nor wody, dawał znać, że przed chwilą jeszcze cała osada była na powierzchni i pławiła się w świetlistej, ciepłej topieli lipcowego słońca i lipcowej fali.

„Ładne powitanie!" — pomyślałem sobie. „To wy stare gapy, nie wiecie ktom zacz i uciekacie przede mną jak przed swym wrogiem? Piękne rzeczy się tu dzieją!" — Pragnąc z niemi jednak nawiązać bliższą znajomość i dać tym sadłowatym brzuchom do zrozumienia, że zbliża się swój i przyjaciel, a nie żaden obcy, — wydałem okrzyk puszczański na znak pokoju, odłamałem z najbliższego drzewa sporą gałąź olszyny i zbliżyłem się nad brzeg rozwidlającego się i opasującego kilka lilipucich wysepek strumienia Tam pozdrowiwszy jeszcze raz całą osadę zawołaniem puszczańskiem rzuciłem gałąź na wodę.

Niedługo czekałem. W czarnej toni strumienia wnet zamajaczyły powłóczyste, brunatno - czarne kształty bobra, jak zjawa błysnęły piękne, świecące w wodzie metalicznym połyskiem oczy i... Arcybóbr majestatycznie wypłynął na powierzchnię.

Popatrzył na mnie swemi mądremi, czarnemi oczkami, kiwnął głową na znak przyjaźni i pozdrowienia, — potem potężnemi rozmachami swych łap podpłynął pod przyniesioną przeze mnie gałąź. Uchwycił pyszczkiem za główny jej trzon i ciął zębami tak szybko i nieomylnie, jak dobry mistrz rzeźnicki swym toporem tnie kości na rosół przeznaczone. Gałąź w jednej chwili rozpadła się na dwie połowy, pomimo, że była gruba jak ręka normalnego człowieka.

Podziwiałem ostrość tych pysznych, wielkich i białych jak kość słoniowa zębów, które nie darmo siedzą w okrągłej, mocno osadzonej mordce zwierzątka. Arcybóbr tymczasem, chwyciwszy mocno zębami za koniec gałęzi, zarzucił ją sobie przez ramię, tak jak dobry młynarz zarzuca sobie na plecy wór z mąką, — i popłynął cichuteńko i bezszelestnie w głębię, pod brzeg, ku norze. Pani



Stefan Szmaj: Kompozycja org. Linoleoryt.

Arcybobrowa go już tam oczekiwała z dziećmi, niecierpliwiąc się bardzo, czemu jej mąż nie wraca. Warowała więc u wejścia jamy jakby przez to chciała okazać swą gotowość do bronienia maluśkich przed atakiem nieprzyjaciela.

Skoro Arcybóbr przyżeglował ze swą zdobyczą, młodzież, to znaczy, dwa małe, tłuste boberki, bynajmniej ślamazarnie nie wyglądające rzuciły się co żywo na gałąź i rozpoczęła się praca. Ostre jak piła ząbki objadały korę zawzięcie, zostawiając tylko liście i biały objedzony trzon gałęzi, — jako że w zwyczaju boberskiem leży już od wiek wieków „jarosznictwo". Jaroszami to znaczy zwierzętami roślino-żernemi są przez całe swe życie — obłe, grube i zazwyczaj spaśne bobry i żywią się prawie wyłącznie korą drzewną, którą śrupią zamaszyście, bo ona im ponoć wcale dobrze smakuje. Oczywiście, że jedzą tylko korę z drzew liściastych i to też nie wszystkich. Najwięcej zaś przypada im do smaku kora olchy, której wielkie zagajenie rośnie naokoło parzelisk bobrowego żeremienia.

Strumień, nad którym rozsiadły się bobry, pomimo, że jest najwyżej na metr głęboki, to jednak nie zamarza nigdy, nawet w najtęższe mrozy. Stąd wniosek, że woda płynąca w tym strumieniu musi mieć w punkcie swego wyjścia ciepłe, o stałej temperaturze źródła. I tak też jest w istocie. — Dlatego też moi przyjaciele nie marzną zimą za wiele. Zresztą są przyzwyczajeni aż nazbyt do zimnych i to tęgich zim. Muszę bowiem wyznać, że ich drogocenne futerka nie są polskie. Nie przywędrowały z Polesia. Bobry w Bachurzewie są sympatycznymi cudzoziemcami, kolonistami, którzy mają jednak najszczersze zresztą zamiary stania się na zawsze autochtonami, rasowemi polskiemi bobrami. Kolonizacja ich postąpi niedługo w silnem tempie naprzód, bo szykuje się już parę marjaży i związków małżeńskich z osadami bobrowemi dzikich Poleszuków.

Jeśli chodzi o rodowody bobrów zamieszkałych w osadzie nadleśnictwa bachurzewskiego, to ojczyzną większości z nich jest daleka, mroźna i zimna, lodami na północy ścięta Kanada. Nad jedną z kanadyjskich rzeczek bobrowych traperzy amerykańscy złapali w potrzaski Arcybobra i jego 10 towarzyszy i przewieźli poprzez daleki ocean do Wielkopolski, do Bachurzewa.

Przepłynąwszy w basenach okrętem Atlantyk znalazły się nagle ziemnowodne stworzenia w żeremieniu bachurzewskiem. I tutaj pomimo zmiany miejsca zamieszkania nie straciły na humorze. Od razu poczuły się jak u siebie w domu, zaraz zabrały się rączo do roboty i niebawem ich żeremie stało się istnym pałacykiem hrabiowskim, którego jedynym śladem na powierzchni ziemi i wody była wielka kupa obgryzionych do śnieżnej białości gałęzi, gałązek i belek. Pod nią natomiast krył się istny labirynt chodników, kurytarzy, przewodów i kanałów wodnych, które prowadziły do nor miękko wysłanych i położonych głęboko w ziemi, nieraz o kilkanaście metrów wgłąb lasu.

Gdy domki ich były jako tako sklecone, całe żeremie bobrowe zaczęło buszować i bobrować po okolicznych lasach i gąszczach gwoli szukania odpowiedniego materjału na budowę tamy. Strumień aczkolwiek ciepły, wydawał im się za mało bezpieczny, ponieważ był za płytki. I to tak dalece płytki, że gdy sam naczelnik

żeremienia Arcybóbr wypływał na brzeg i wygodnie sadowił się na jednej z wysepek, — to mógł bardzo dobrze w przeźroczystej wodzie widzieć, jak omal tuż po dnie, płynie i skrada się do nory jego żony uwodziciel, w postaci niesympatycznego grubasa, Cuchnącego Łoja, który nigdy nie umiał się poddać rozkazom swego przełożonego i był „złym duchem“ całej osady.

Na gwałt trzeba było więc strumień pogłębiać zapomocą tamy. I byłaby powstała wspaniała, strumień w moczar głębszy i szerszy rozlewająca tama, gdyby nie człowiek! On zawsze musi biednym zwierzakom wnijść w kaszę! — Otóż najrozmaitszym ministrom z jakiejś tam dalekiej Warszawy nie podobało się, że bobry wielkopolskie „w pojedynkę“ się włóczą po gęstwinie leśnej, narażając przez to na silną pokusę okolicznych kłusowników, którzy zwykli sobie czasem przez pomyłkę pożyczać futerko z jakiego bobra, za które przecież płacą w handlu wcale ładną sumą 1000 zł.

Dobrzy ludzie z nadleśnictwa więc bliżej zajęli się „biednemi stworzeniami“ i zbudowali im dokoła wysepek żelazny parkan wysoki w górę na 2 metry, a sięgający w ziemię żelazną kratą na trzy. Wszystko to celem uniemożliwienia bobrom podkopów.

Ustały teraz dla żeremienia bachurzewskiego czasy beztroskiej włóczęgi i swobodnego buszowania. — Lecz jak to mówią: gdy nieszczęścia zaczną walić na człowieka, to nigdy nie pojedyńczo, lecz drzwiami i oknami. Właśnie tak samo było i z bobrami. Oto w parę dni później przyszedł do Bachurzewa nowy transport bobrów, lecz tym razem z północnej Skandynawji. Przybyło więc 4-ch nowych towarzyszy, wyglądających dosyć pociesznie i nie tak suto i bogato jak tubylcy. Postacie ich były więcej chude, mniejsze, barwa włosów brunatno-płowa, a po wyschnięciu na słońcu nawet zupełnie jasna. Były to djabły podstępne, chytre i przemyślne, — i pomimo, że pochodziły także z jednego żeremienia, — toczyły ustawiczne ze sobą walki. Łyskały ku sobie czarnemi, groźnemi oczyma i od czasu do czasu skakały na siebie z furją i zatapiały swe białe, ostre zęby poprzez pierwszy i drugi włos futra aż do sadłem porośniętego karku.

Odtąd zapanował w osadzie bobrowej wielki zamęt. Chudy Gryz, naczelnik skandynawskiego żeremienia ani chciał słuchać o poddaniu swej czeladki i siebie samego pod rozkazy Arcybobra. Urządził nawet w osadzie wielką rebelję, pozyskawszy do niej zapomocą pochlebstw samą Arcybobrową, która wzięła udział w bitwie po stronie chudego Gryza i zawzięcie walczyła przeciwko swemu mężowi. Kara za zdradę była wielka. W zamęcie bitwy, kiedy największy basen strumienia pienił się i bulgotał od wewnętrznych szamotań i okrutnych gonitw, — Arcybobrowa nieopatrznie wysunęła łapkę w pościgu za jednym z uciekających młodzików swego rodu, chcąc go mocno kacnąć przez kark i zatopić w nim choć na chwilę swe stalowe ząbki. Nie zdołała się jednak opatrzyć jak łapka ta nagle zniknęła w paszczy przeciwnika, — rozległ się trzask przecinanych kości i — Arcybobrowa została bez prawej łapki na całe życie. Tak bywa zawsze tem, kto kraj zdradza, a nie wie, że „zdrada zabija“.

Dobrzy ludzie widząc te ustawiczne bójki i niezgodę, wyznaczyli osobne ogrodzone miejsce nad strumieniem skandynawskiemu żeremieniowi i w ten sposób powstała bucharzewska osada bobrów, składająca się z dwóch żeremion czyli z dwóch rodów bobrowskich, niezależnych w pożyciu od siebie i posiadających całkowitą wewnętrzną autonomję.

Kolonja bobrowa w Bucharzewie, jedyna w ten sposób urządzona w Polsce, a zdaje mi się, że i w Europie, rozwija się teraz pomyślnie, cieszy się teraz czułą opieką ministerstwa, — rozradza się wprawdzie nie tak plennie jak to czynią króliki lub Polacy, dla których nawet rząd polski musiał ostatnio stworzyć tak czcigodną instytucję, jaką jest Urząd Regulowania Urodzin w Warszawie. To też bobry rozrastają się całkiem normalnie jak na uczciwych ludzi przystało. Nawet że tak powiem rozradzają się one wcale modnie. Rocznie jest u nich bowiem na jakieś 8 rodzin cztery sztuki przychowku. Prym dzierżą tutaj bobry kanadyjskie, bo bobry skandynawskie chwilowo straciły czy też udają że straciły rozrodczość. Niewiadomo czy to z powodu zmiany warunków, czy też ma to być realizacja systemu neomaltuzjańskiego u zwierząt. Niewiadomo! Lepiej sądzić o moich puszczańskich przyjaciołach dobrze i przypuszczać, że do tych perfidyj nie są zdolni. Za poczciwie bowiem im na to z oczu patrzy! —

Na zakończenie dodać muszę, że w osadzie bobrowej działy się jeszcze inne rzeczy, o których ucho ludzkie nigdy nie słyszało. Arcybóbr mógłby o tem jeszcze niejedno w swej gwarze bobrowej powiedzieć. Dodam tylko to, że piszę tę historję osady bobrów wielkopolskich po to jedynie, że ostatecznie wypada nam się zająć z punktu widzenia regjonalizmu kwestją kolonizacyjną chociażby takich małych szczurów, jakiemi są bobry. A pozatem, że słyszałem od pewnego radcy z ministerstwa, że pierwotnie powstał projekt założenia osady bobrowej w powiecie wrzesińskim, i to zdaje mi się w lasach marzelewskich. Specjalna komisja z Wydziału Leśnego badała warunki w tych lasach, lecz pewien wzgląd, mianowicie ten, że strumień w lasach bucharzewskich miał wyższą temperaturę, przeważył, i bobry znalazły się tem samem w Bucharzewie, a nie pod Wrześnią.

Poznań.

---

DR. LEON BOCHENEK:

# O WIELKOPOLSCE I O TAK ZWANEJ DZIELNICOWOŚCI

Już od najmłodszych lat miałem duży sentyment dla Wielkopolski. Pamiętam (byłem wtedy w trzeciej gimnazjalnej), kiedy na naszych zebraniach tajnej organizacji Młodzieży Narodowej w Tarnopolu, omawialiśmy bardzo żywo strajk dziatwy szkolnej w Poznańskiem, a szczególnie bohaterskie zachowanie się Wrześni, która pierwsza dała początek żywiołowego oporu przeciwko barbarzyństwom Prusaka, zabraniającego dziatwie polskiej modlić się w ojczystym języku i katującego niemiłosiernie dziatki modlące się po polsku. Utrzymywaliśmy kontakt z Młodzieżą zaboru pruskiego przez czasopisma „Brzask“ i „Sprawę“, oraz spotykaliśmy się na wspólnych zjazdach we Lwowie i Krakowie.

W referatach i dysputach naszych młodzieńczych o wyzwoleniu się narodu polskiego z niewoli, przy kreśleniu granic przyszłego państwa polskiego, zawsze stawialiśmy jako podstawę potęgi Polski wydarcie Niemcom ziem zachodnich z Pomorzem, Gdańskiem, Śląskiem, a nawet Prusami Wschodniemi. Ziemie te, to kolebka państwowości polskiej, to ośrodek mocy Mieszka I, a zwłaszcza potężnego Chrobrego. Uważaliśmy też Niemców za najgroźniejszego wroga naszej istności narodowej. Dlatego też w czasie wojny światowej stanęła młodzież narodowa, wychowana na „Myślach nowoczesnego Polaka“ Romana Dmowskiego, odrazu po stronie Aljantów, a przeciwko Niemcom.

Przypominam sobie, jak ogromnie się ucieszyłem, kiedy zaciągnąwszy się jako ochotnik w szeregi Armji Hallera we Włoszech, dowiedziałem

się z dzienników w ostatnim dniu grudnia 1918 r., że Poznańskie porwało za broń i wypędza Niemców z Wielkopolski. Drugą taką radosną wiadomością dla mnie było to, że Poznańskie pierwsze pospieszyło z pomocą bohaterskim obrońcom Lwowa, chociaż równocześnie samo borykało się z Niemcami, którzy wyparci z Poznania w wielu punktach stawiali opór nacierającym wojskom polskim.

I podziw następnie wzbudzała we mnie ta sprężystość organizacji, z jaką Poznańczycy zabrali się do usuwania resztek niemczyzny, to odpolszczenie pozornie zniemczałych szeregu miast Wielkopolski, Śląska, czy Pomorza i to energiczne uruchomienie polskich instytucyj państwowych, szkolnictwa i samorządu. Odrazu też dzięki swym walorom samoobrony narodowej zajęło Poznańskie pierwsze miejsce na polu gospodarczem, handlowem i przemysłu. A już chlubą wszystkiego była Powsz. Wyst. Krajowa w Poznaniu zorganizowana głównie siłami Wielkopolski.

Jeźli się dalej weźmie pod uwagę, że najbardziej polskiemi miastami są miasta Wielkopolskie, a nawet Pomorza, że ich procent Polaków sięga ponad 95, to jasną jest rzeczą, że pierwszorzędne wprost znaczenie w państwie posiadać winny ziemie zachodnie, nie negując przez to wartości innych dzielnic Polski.

I kiedy przed czterema laty zostałem przeniesiony z urzędu z Tarnopola do Wielkopolski, pospieszyłem tam z dużem zaciekawieniem i pełnem zaufaniem do współbraci z nad Warty. I rzeczywiście doznałem serdecznego przyjęcia i czuję się mimo tak zwanej dzielnicowości całkiem dobrze, jak Polak we własnem państwie, obojętnie w jaki zakątek Polski rzucą go losy.

I nie powiem, żebym tej dzielnicowości nie zauważył. Pokutuje ona jeszcze niestety, a szereg złożyło się nato przyczyn. Po pierwsze dzielnicowość jest dziełem zaborców, którzy rozdzieliwszy ziemie polskie kordonami, starali się sztucznie wytworzyć i pogłębić różnice i z Polaków porobić Galicjaków, Kongresowiaków i Poznaniaków, czy też wprost Prusaków. 150 lat blisko nad tem pracowano. I Austrja zabrawszy część dawnej Małopolski, nazwała ją umyślnie Galicją, aby wykreślić słowo „polska", również na życzenie cara Aleksandra I, cesarz Francuzów Napoleon nazwał część Polski, niepodległej, utworzoną po pokoju tylżyckim Księstwem Warszawskiem, a nie Polskiem. Tak samo na kongresie Wied. w 1815 r. utworzono nie Królestwo polskie, tylko Kongresowe. Nazwy więc „Galicjaków z Kongresówy" pokutują po zaborcach i czas najwyższy, by zaprzestać ich używać.

Pod zaborem pruskim jak i rosyjskim zaborcy nie dopuszczali Polaków do stanowisk państwowych, dlatego też te stanowiska z chwilą powstania państwa polskiego tak w Wielkopolsce, jak i w Kongresówce w dużej mierze pozajmowali Galicjanie, gdzie istniał samorząd i gdzie stan urzędniczy był bardzo silnie reprezentowany. Trzeba przyznać, że w początkach nie zawsze najlepsze jednostki tak co do charakteru, jak i pod względem moralnym zajmowały w Poznańskiem różne stanowiska i nader często nietaktownem zachowaniem się zrażały miejscową ludność do siebie, a tem samem i do całej Galicji. Mimo wszystko w interesie dobra ogólnego należy skończyć z szacowaniem wszystkich przybyszów jednakowo i oceniać ludzi według ich wartości indywidualnie bez względu nato, czy pochodzą z Małopolski, Poznańskiego, czy Warszawy. Raczej już szacować się możemy według wyznawania programów politycznych, społecznych czy gospodarczych, niż według dzielnicowości, jak zresztą dzieje się to gdzieindziej na zachodzie.

I mogę sądzić, że „Wici", które postawiły sobie za zadanie opiewać Wielkopolskę, wydobywać z niej na światło dzienne jak najlepsze pierwiastki i najszlachetniejsze porywy, podnieść ją na jeszcze wyższy stopień kultury i sztuki, że te „Wici", chociaż pielęgnują regionalizm wielkopolski tembardziej staną na wyżynie ogólnonarodowej i raczej potępiać, aniżeli propagować będą narzuconą nam niewolą dzielnicowość. Może zresztą artykuł mój stanie się początkiem szerszego omówienia tej bądźcobądź i dziś jeszcze aktualnej kwestji.

## RECENZJE I OPINJE

Adam Henryk Kaletka:

### Z przeszłości miasta Wielichowa

1429—1929. 1929. Nakładem Magistratu.

Autor okazał się niezmiernie sumiennym i pilnym w wyszukiwaniu wszystkich źródeł, co na jego miasto snop światła rzucić mogą. Zestawienie literatury i źródeł jest bogate i wzorowe. Książka przewyższa cenne dzieło ks. Cieplucby (późniejsze) o ziemi Kościańskiej więcej naukowem ujęciem całości i przejrzystym skorowidzem. Cytowanie źródeł sub linea umożliwia ew. kontrolę poglądów i sądów p. Kaletki, nie mówiąc już o faktach, które — mniemać należy — zostały zupełnie ściśle podane.

Treść książki bardzo bogata i zwięzła. Po wstępie o nazwie „Wielichowo" idą rozdziały: Pierwsze hist. wiadomości, Lokacje osad na prawie niem., Czynsze i robocizny, Rzemiosło, przemysł i ich organizacja, Giełda strzelecka, Kościoły, Szkoła, Choroby, głód, drogość i nieurodzaje, pożary i wojny oraz zdawna w mieście osiadłe rodziny. — Rozdziały są rozbite na zagadnienia specjalne.

Rzecz właściwą pracy poprzedził p. K. Jażdżewski fachowym szkicem o pradziejach Wielichowa i jego najbliższej okolicy na tle pradziejów Wielkopolski. Podkreślić tu trzeba znakomite tablice wykopalisk prehistorycznych, wykonane przez młodego prehistoryka.

Praca o Wielichowie jest pracą pamiątkową ku uczcz. 500 lecia tego miasteczka. Autor dobrze się zasłużył w dziejach tego regjonu, a Magistrat jako wydawca dzieła dał dowód zrozumienia ważności badań historycznych i pielęgnowania pamiątek lokalnych — czego — niestety — o wielu Magistratach powiedzieć nie można.

Kilka uwag na marginesie I. rozdziału: Wielichowo jako przymiotnik rzeczownikowy odmieniał się zawsze: do Wielichowa (nie Wielichowego). Formy do Limanowy, do Częstochowy są odwieczne, rzeczownikowe, a do Limanowej są nowsze, przymiotnikowe na wzór rzeczowników żeńskich, i to imion np. Steinówny, dziś już często Steinównej, to samo w pluralis np. Steinówne zamiast Steinówny, ten sam błąd w zwrocie kobiety winne być...zamiast winny. Jeżeli dziś mówi lud do Kątnego, to dlatego, że z Kątna (Kątno) zrobił Kątne. Te sprawy p. Kaletka przedstawił niejasno.

Mag. A. Szyperski.

## ODGŁOSY

Znakomity literat red. Witold Noskowski, kierownik Działu „Kultury i Sztuki" Kurjera Poznańskiego, pisze nam: ... „Pierwszy zeszyt „Wici" bardzo mi się podobał i tylko tak dalej. Co najwyżej ograniczyłbym się, ile możności, do spraw ściśle regjonalnych, wyjątkowo tylko dopuszczając rozważania literackie itd. ogólniejszej natury — Niecierpliwie czekam dalszego numeru.

W Tygodniku Jllustrowanym (№ 43) w dziale „Ideei Zdarzenia" — czytamy: Jednocześnie z głosami o upadku czytelnictwa w Polsce powstają pisma nowe, rozpoczynające pracę z wiarą, iż zdołają znaleźć rezonans w społeczeństwie i wytrwać na posterunku. Po krakowskiej „Gazecie Literackiej", świeżo przywróconej do życia, wyszedł zeszyt pierwszy nowego „miesięcznika poświęconego sztuce i kulturze" p. t. Wici. Podobnie jak „Gazeta Literacka" wywieszała hasło krakowskiej regjonalności, „Wici" bardzo wyraźnie akcentują swój regjonalny wielkopolski charakter („Równe, szare dni wielkopolskie — oto są strofy, oto rytm naszej pieśni"). Redakcja nowego pisma apeluje do wielkopolskiego społeczeństwa o poparcie i obiecuje mu bardzo wiele wzamian za życzliwość i zainteresowanie („Przeto wołamy: „Otwórzcie nam drzwi waszych warsztatów!" Niesiemy kwiaty. Nie odepchnie nas uśmiech wzgardy i opryskliwe zapytanie „Po co? Odpowiemy: „Chodźcie z nami w pole")... Życzymy „Wiciom", żeby spełniły swe zadanie kulturalnego pisma regjonalnego.

Znany literat krakowski Michał Rusinek współpracownik „Gazety Literackiej" pisze do nas: Pismo mi się podobało, tylko należałoby „Wici" zakroić na szerszą skalę. to znaczy nie ograniczać się do pewnego terytorjum, bo wówczas robiłoby wrażenie wydawnictwa zaściankowego. Oczywiście pierwszy numer jako poświęcony Wrześni uchyla się słusznie od tego zarzutu, jako, mam wrażenie, numer wstępny.

Ks. Prob. Cieplucha, autor dzieła Kościan pisze: „Proszę przyjąć najgorętsze życzenia dla nowego pisma. Oby „Wici" roznosiły daleko światło prawdy i pogłębiały kult dla wszystkiego, co piękne i nasze".

Odbito w Drukarni A. Prądzyńskiego, Września.
Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata z przesyłką: kwartalna 1,50, ½ roczna 3,00, roczna 6,00 zł. Ogłoszenia 1 mm 1-łamowy 20 gr.
Redakcja: Poznań Chwaliszewo 15/16 3p.pr., Bydgoszcz ul. T. Kościuszki l.d.18 m.8, Września red. Oręd. Wrzes. Konto P. K. O. Poznań 200.057.